Tom XVI. Nr. 17.

11. czerwca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SIEROTA.

Powieść z prawdziwego zdarzenia,

przez Skoczka z Radomyśla.

III.

(Dokończenie.)

— Kiedy zaszedłem do Warszawy — opowiadał tak Jan Lasowiak Skoczkowi dalej — robiłem tam za pomocnika przy mularzach. Inżynier od tej fabryki, nazwiskiem Żabiński, co był nawet przełożonym nad profesorami szkoły budownictwa, upodobał sobie mnie i wziął do siebie na usługi. Gdy się ten pan przekonał, że umiem czytać i pisać, ba, że się nawet po niemiecku rozmówię, kazał mi chodzić do szkoły technicznej, bo chciał, abym na człowieka wyszedł. Miałem u tego pana Żabińskiego wszystko jak u ojca — bo sprzyjał mi z całego serca, a był pan bardzo bogaty.

Ale na nieszczęście zamiast uciechy sprawiłem mu zgryzotę. Warszawa zwyczajnie wielkie miasto, dużo w niej złego i rozmaite pokusy; popadłem w złe towarzystwo i począłem się hultaić. Jednej nocy w szynku zrobiłem z moimi kompanami burdę, przyszła policja i wzięła mnie do aresztu.

W areszcie siedziałem za tę bitkę 48 godzin w kajdankach, a cztery dni czyściłem kryminał. Kiedy mię wypuszczono, nie śmiałem ócz pokazać memu dobrodziejowi, panu inżynierowi Żabińskiemu. Bo jakże było stanąć przed tym, który mię chował i niczego dla mnie nie szczędził. Wstydziłem się siebie samego, żeby mi się była ziemia rozstąpiła, toby było lepiej schować się, niż przeżyć takie męki, jakie ja miałem w mem sercu. Nie było innej rady, jak tylko wynieść się z Warszawy i szukać między ludźmi przytułku. Znalazłem we dworze na Podlasiu miejsce za pisarza i tam byłem trzy lata pod imieniem Augustyn Lebioda. Dobrze mi tam było, uskładałem sobie parę rubli, ale urzędnicy tamtejsi, ot jak Moskale, wzięli mię na kieł i oddali w sałdaty. Zagnali mię do Warszawy, gdziem dostał mundur i dowiedziałem się, że mój stary inżynier przeniesiony do Petersburga, a za kilka dni ruszyłem w pochód do dragonów pułku archangielskiego, aż nad białe morze. Pędzili nas szelmy Moskale na Moskwę. W Moskwie dostaliśmy innego oficera młodzieniaszka, co jak wypił dwa kieliszki araku, to już był bez duszy. Było nas w tym transporcie 150 chłopa, a między nimi ja byłem najuczeńszy. Oficer bardzo mnie lubiał, rozmawiał ze mną, a to taka była delikatna osóbka jak panieneczka. Nie był to Moskal okrótnik, jak to zwykle bywają szyzmatyki, ale pochodził z polskiej familji. Był księciem i nazywał się Marski. Żałował mię bardzo, że tak daleko mnie pędzą, i miarkowałem po nim, że byłby rad mojej ucieczce. Jużciż wiedział on, że Polakowi być żołdakiem moskiewskim to nieszczęście! Ale jakże tu uciekać! Ucieknę, złapią mnie, pójdę na śmierć — ale i oficerek mój pójdzie w Sybir. Biłem się z myślami, co mam robić. Ha! niech się wola Boża dzieje, kiedyśmy byli już tylko kilkanaście wiorst od Petersburga, napiłem się do oficera jeden, drugi i trzeci kieliszek araku. Mnie jeno trochę w głowie zaszumiało, a on się skuł i jak nieżywy usnął. Wtedy zmówiłem „Kto się w opiekę“, włożyłem oficerkowi 100 rubli do kieszeni i karteczkę z napisem: „Bądź zdrów książę! wymaż mnie z rejestru, jakom umarł w drodze“, a sam w nogi. Błąkałem się kilka dni po okolicy Petersburga, aż kiedym uważał, że mój transport

już za Petersburgiem, dopiero wszedłem w tę stolicę, kupiłem sobie piękne ubranie, zameldowałem się w policji, żem Jan Lasowiak, technik z Warszawy i prosiłem, żeby mi urzędownie przysłali moje świadectwa szkolne z Warszawy. Kosztowało mię to 50 rubli. Mieszkałem w hotelu z drugim technikiem Litwinem, a dowiedziawszy się o mieszkaniu mego starego inżyniera Żabińskiego, przedsięwziąłem pójść do niego i prosić o jaką radę. Pójdę do niego, myślałem, niech mi się już nawet wyrzeknie, aby mi tylko ten mój szkaradny grzech odpuścił. Pamiętam, że w wilję ruskiego Bożego narodzenia rano poszedłem do spowiedzi, a koło 11. godziny przed południem poszedłem do mego pana inżyniera. Gdym wszedł na schody, drżały nogi podemną ze wstydu — w tem poczciwy sługa inżyniera Paweł zobaczył mię i z wielkim krzykiem biegnie do drzwi.

— Jegomość, jegomość, nasz pan Jaś idzie.

Stary mało nie padł tak biegł do mnie.

— Boże! — wołał — to ty Jasiu żyjesz i nie zapomniałeś o mnie — nie klękaj przedemną, bo ja stary grzesznik, chodź, Bóg ci odpuszcza i ja ci odpuszczam, chodź Jasiu kochany, a mów prędko, gdzieś ty tak długo się obracał.

Opowiedziałem memu dobrodziejowi wszystko — Paweł dał suty obiad, na drugi dzień pisał pan Żabiński po moje papiery do Warszawy i znowu był moim ojcem jak przedtem. Zapisałem się na akademię i uczyłem się jeszcze dwa lata, a wszyscy profesorowie mnie uważali za krewnego pana Żabińskiego, to mi też dobrze było. Nauka aż rosła mi w głowie. Byłem najuczeńszy między akademikami. Jakoś w parę miesięcy pewien bardzo bogaty książę Marski, prosił mego pana o jakiego nauczyciela do dwojga dzieci do domu; mój pan mię tam wprowadził i uczyłem dzieci. Jakoś musiałem się tam dobrze popisywać, gdyż książę bardzo mię szanował, a księżna pani okazywała mi zawsze wiele grzeczności i świadczyła dobrodziejstwa. Książę dawał podarunki w dukatach, a księżna znowu suknie najmodniejsze. Miałem pieniądze, ubiory śliczne i wykręcałem się po książęcych salonach, krom duszy, gdyby szlachcic.

Pamiętałem jużcić, że ten oficerek, któremu uciekłem, Marski się nazywał i kiedy mi tylko mój pan powiedział, że będę uczył dzieci u księcia Marskiego, jakoś się zakłopociłem tem bardziej, że mi pan mówił o jego synie oficerze. To mię niepokoiło trochę, ale jakoś trudno się było wymówić; szło wszystko dobrze. Pewnego razu, gdym z książętami jadł obiad, mówi księżna do księcia:

— Trzebaby Zygmuntowi posłać ze 300 rubli do Archangelu na drogę, bo tędy będzie wracał i nas odwidzi na kilka dni, bo tak do mnie pisał.

— Masz ci go djable – myślę sobie — to ten! gdzież ja się tu podzieję, chyba trza będzie w domu zostać, zachorować, żeby się jako nie wydało, bo on mię od razu pozna, albo z księżną trzeba o tem mówić. Ej! najlepiej mu się nie pokazywać.

Jutro miał młody książę Zygmunt być już na obiedzie, a ja dziś się już rozchorowałem. Gdy przyjechał, miał bawić 14 dni, księztwo mu opowiadali, że tu u nas uczy dzieci jeden akademik Jan Lasowiak i bardzo mię chwalili.

— Cieszyłbyś się synu, gdybyś go poznał — mówiła księżna do młodego księcia.

Przysyłali po mnie lokaja, ale żem leżał w łóżku z zawiązaną głową, więc się wymawiałem. Potem przysłali po mnie powóz, żebym się nie zaziębił, alem się wymówił. Młodemu księciu bardzo się przykrzyło, więc lokaj przychodzi z karteczką od samej księżny, a ta pisze do mnie:

— Jeżli pan nie może do nas przyjść i memu synowi przyjemności zrobić, to mój syn pana odwidzi, a nie pogniewa się pan na nas?

Aż mię mrówki przeszły, gdym kartkę od księżnej przeczytał: On tu do mnie przyjdzie? myślę sobie, chyba ja do nich pójdę. Ej, nie! źle się to zrobi, niech on tu przyjedzie, w cztery oczy może rzecz ułagodzę. Ależ czegoż się bać, jego dusza prawdziwie dobra. Napisałem na prędce kilka słów do księżnej: „Nie jestem wprawdzie tak mocno chory, ale lekarz zabronił mi przez kilka dni wychodzić z mieszkania, gdyż łatwobym się mógł zaziębić. Jeżeli książę kapitan łaskaw mię

nawidzić, to bardzo proszę, będzie to zaszczytem a więcej jeszcze ulgą a może uzdrowieniem dla uniżonego Jana Lasowiaka.“ Moja karteczka dostała się w ręce księżnej. Ta przeczytawszy pokazała ją młodemu księciu. Oboje w głowę zachodzili, co mają znaczyć te moje słowa: ulga i wyzdrowienie — myśleli, że ja może w gorączce niezrozumiale piszę. Nie wyszło może dwie godziny, kiedym przez okno ujrzał przed mojem mieszkaniem powóz i młodego księcia. Lokaj szedł naprzód a książę za nim i już jest przy moich drzwiach. Zapukał zwyczajnie, ale jak mnie serce pukało, ledwiem nie zemdlał — otworzyłem drzwi, wchodzi książę. Zdjął zgrabnie białą czapeczkę, proszę go siadać a on do mnie po niemiecku: „Jestem kapitan książę Marski, przepraszam pana, że do niego przychodzę, albowiem mam obowiązek złożyć panu uszanowanie za prace, które masz z mymi małymi braćmi. Kogo ja to widzę? nie mylę się? a co? toście wy Lebioda, dragon Lebioda?“

— Ja jestem książę panie! — rzekłem — Bóg was tu sprowadził do mnie ubogiego sieroty, abyście uzdrowili chorego i pocieszyli bojaźliwego.

— Musiałem zostać w domu, aby wam się książę nie pokazywać, bałem się i boję się jeszcze, może mię szukają?

— Nie szukają cię, tyś umarł i pogrzebion — mówił książę ze śmiechem.

Słowo do słowa, kazał mi się książę zebrać i pojechałem z nim na obiad do księztwa. Przez kilka dni towarzyszyłem mu wszędzie, księżna byłaby mię w ramki wsadziła za to, że się syn tak ze mną zabawia. Jeszcze więcej miałem przez to szacunku między panami, a lekko mi było w duszy, bo Pan Bóg wszystko błogosławił. Młody książę odjeżdżając z domu, polecił mię opiece księztwa i prosił, aby mu do Moskwy towarzyszyć. Odprowadziłem go do Moskwy a żegnając się z nim, rzekł do mnie:

— Lasowiaku! jakbyście kiedy potrzebowali jakiej pomocy odemnie, to napiszcie, a ja wam będę przyjacielem. Włożyliście mi przy ucieczce 100 rubli do kieszeni, to ja wam daję teraz 400, przyjmcie to odemnie i pocałował mię w twarz.

Pożegnaliśmy się prawie z płaczem i jak wtenczas do mnie mówił, tak zawsze jest moim przyjacielem. Niech mu Bóg błogosławi!

W dwóch latach ukończyłem akademję petersburgską. Księztwo wstawili się za mną i dostałem zaraz miejsce na inżyniera do Odesy z pensją 800 rubli. Byłem tam rok, a w przeszłym roku przeniesiono mię na gubernialnego inżyniera do Lublina i mam teraz 2.000 rubli i inne dochody.

— A twój pan dobrodziej Żabiński żyje? — pytałem.

— Żyje i zdrów — odrzekł — w tym miesiącu przyjedzie do mnie, bo już pójdzie na pensję. Będzie u mnie aż do śmierci.

— Wiesz Jasiu! cudownym sposobem zostałeś takim człowiekiem. Dawniej pasik z kozikiem, a dziś złoty kołnierz cię zdobi. Tak to bywa! spiewamy na nieszporach: Bóg ubogiego z gnoju wyprowadził i z książętami na krześle posadził, i to istna prawda na tobie. Co to uciechy będzie, jak to naszym opowiem!

— Ja się zbieram nawet kiedy do Radomyśla przyjechać i zobaczyć ludzi, z którymi się chowałem — mówił.

— Dobrze kochasiu zrobisz — mówię — nie gardź nami mieszczanami, a Bóg ci pobłogosławi, że jeszcze na starszego wyjdziesz.

Cośmy więcej rozmawiali, tegoby nie spisał i na 20 arkuszach, bo całą noc jedliśmy i gawędzili. Ja wam jeno trochę z tego opisuję, żebyście wiedzieli o tem zdarzeniu i o prawdziwym cudzie Boskim.

Zastaw.

Jeszcze go na przednowku nie dojadła bieda,
Lecz siadł Marcin na progu przed chatą i duma:
„Chciałby się człek sam napić, poczęstować kuma,
„Nie ma za co!... ha! kożuch zastawię u żyda!
„Dziś już świętego Wojciecha,
„I słonko dobrze grzeje i w polu pociecha!“
Wdział sukman i z kożuchem
Do pachciarza rusza duchem:

„Jankiel, zmiłujcie-no się, pożyczcie talara.“
— „Talara — rzecze Jankiel — kożuszyna stara,
„Lecz wiem, że u was nie zginie,
„Więc dam talara Marcinie.
„Jeno mi z pierwszych snopków nowotnego żyta
„Dwa talary oddacie z procentem — i kwita.“
Stanęła zgoda, talar u Marcina,
A kożuch został u żyda.
Marcin już myśli sobie jak talara wyda
A Jankiel tak znów zaczyna:
„Wiecie Marcinie, rozłożmy na raty,
„Dla tem łatwiejszej wypłaty;
„Oto zaraz talara dajcie na rachunek,
„A potem kiedy, nie długo,
„Zapłacicie ratę drugą,
„I cały sobie z głowy spędzicie frasunek...“

Oddał Marcin talara, powraca i duma:
„Miałem się i sam napić i zaprosić kuma,
„I znowu nie mam za co, a tem większa bieda,
„Żem i winien talara i kożuch u żyda!..
„Oto na równej drodze dałem mu się złupić!...
„Ale... Jankiel ma rację... lżej będzie wykupić.“
O! bodajby mógł każdy tę myśl w siebie wszczepić,
Że lepiej dać się okpić, niż grosz ciężki przepić.

Wołody Skiba.

O łapówkach w Moskwie i jak je biorą tamtejsi urzędnicy.

Słyszeliście pewnie, moi ludkowie kochani, już nie jedno o kraju moskiewskim, nie będziecie się więc dziwić temu co wam opowiem o przekupstwie tamtejszych urzędników. Od żadnego urzędnika nikt tam nic nie uzyska, jeżli mu się pierwej dobrze nie opłaci, czyli jeżli mu nie da dobrej łapówki. Ale, opowiada pewien podróżny, co długo był w Moskwie i napatrzył się tamtejszym obyczajom, nie dosyć jest dawać łapówki, nie dosyć jest brać łapówki, potrzeba umieć dawać i umieć brać; inaczej dający, jako przekupujący urzędnika, wystawia kieszeń swoją na wielkie niebezpieczeństwo. Również urzędnik jest ostrożnym, boi się bowiem aby go nie schwytano

na gorącym uczynku i nie odpędzono. Sztuka dawania i brania łapówek przechodzi z ojca na syna, wydoskonala się, i żadne prawo nie jest w stanie zapobiedz nadużyciu.

Oto historja o pewnym kupcu, co jadąc ze skórami na jarmark do miasta, ledwo za dobrą łapówkę uzyskał świadectwo od sędziego.

Pan sędzia, Prokop Ilicz, opasły, zaspany, siedzi za stosem papierów, złote okulary naciskają czerwono świecący a potężny nosek; prawa ręka Prokopa Ilicza zagląda do kieszeni, tam jeszcze pustki; pan sędzia w złym humorze.

Kupiec kłania się nisko, raz po razu i powoli zbliża się do pana sędziego, lecz ten zajęty pracą, niby nie widzi wchodzącego. Kupiec kaszle, szurga nogami, pan sędzia nie podnosząc nosa z okularami, zapytuje:

— Kto tam?

— Ojcze rodzony — schlebia się kupiec — każ przyspieszyć wydanie świadectwa, zżal się, drugi dzień czekam, ja człowiek handlujący; Prokop Ilicz, zżał się!

— Przyjdź jutro, nie mam czasu — kwaśno odpowiada pan sędzia.

— Prokop Ilicz! nie łaska tabaczki? — W tabaczce spoczywał pieniądz złoty, co się nazywa półimperjał.

Pan sędzia wyciąga pulchną, krótką łapkę, zanurza palce w tabakierce, poczuł pieniądz. Zażył tabaczki, a dukat już był w kieszeni.

— Nu, a o co to chodzi? — zapytał teraz.

— O świadectwo, Prokop Ilicz.

— Hm... świadectwo... a na co to świadectwo?

— Jadę ze skórami na jarmark — odpowiada kupiec.

— A.... a.... ze skórami... ze skór... r.... r.... ra... mi... — ziewając powtarza pan sędzia — a daj ka jeszcze tabaczki....

Kupiec wiedział, że tabaczka będzie smakowała i przygotował się. Z westchnieniem podał panu sędziemu tabakierkę. Prokop Ilicz niuchnął i drugi półimperjał znalazł się obok pierwszego w kieszeni.

— Tak, ze skórami chcesz jechać, ze skórami, a ile to fur?

— Pięć fur, Prokop Ilicz.

— A dokąd jedziesz?

— Do Nowogrodu.

— Do Nowogrodu? a tam duży jarmark, pięć fur, daj ka jeszcze tabaczki; sławny tabaczok! sławny!

Prokop Ilicz poniuchał. Obok przy drugim stole siedział pisarek pana sędziego, Gerasim Iwanowicz; wiedział jaką to tabaczkę zażywa pan sędzia i czekał cierpliwie kolejki. Pan sędzia spojrzał na niego i rzekł łaskawie:

— Nu, ka Gerasim Iwanowicz, poniuchaj i ty tabaczki, sławnyj tabaczok.

Kupiec postąpił do Gerasima Iwanowicza i podał znów tabaczki. Gerasim Iwanowicz zażył cichutko, nie pochwalił tabaczki, ale dukata schował i znów pisał, a kupiec stał i czekał.

Pan sędzia zapomniał o kupcu, zagrzebał się w papierach i tylko wzdychał nad wielką pracą i nad swoją biedą. Nareszcie przypadkiem spostrzegł znowu kupca.

— A! ty jeszcze tu?

— Prokop Ilicz, zżal się, daj świadectwo.

— Hm... świadectwo... to nie prosta rzecz świadectwo; a może skóry ze zdechłych albo chorych bydląt, może zaraza... Jabym przed Bogiem i ludźmi odpowiadał..... to grzech.....

— Prokop Ilicz! nie, to zdrowe skóry; toż jedliście mięso..... zdrowe....

— Tak! tak! zdrowe, wy tak zawsze mówicie, a mnie głowa boli. Nu, daj ka tabaczki, może to pomoże.....

I znowu niuch tabaki i jeden półimperjał. Pan sędzia był już w lepszym humorze, kazał napisać świadectwo; przy podpisywaniu jeszcze raz poniuchał tabaczki.

A teraz posłuchajcie ludkowie kochani drugiej podobnej historji o starym Tatarze, co z dwoma dorosłymi synami chciał jechać pomiędzy kozaków z towarami. Ponieważ tam nie wolno jechać bez kartki od pana pułkownika, udał się do niego z prośbą, aby mu takową udzielił; a wojskowi moskiewscy także biorą łapówki i nawet mniej się wystrzegają jak urzędnicy.

Pan pułkownik wytrzymał proszących za drzwiami przez parę godzin, a nakoniec przywołał ich do siebie.

— Ty co chcesz stary?

— Ja, wielmożny pułkowniku, chciałbym pojechać do kozaków z towarem.

— A ty co chcesz? — rzekł do młodszego Tatara.

— Ja także chciałbym z ojcem jechać.

— To przyjdź później, ja z trzema naraz nie gadam.

I wypędził dwóch młodszych Tatarów, pozostał tylko stary.

— Nu, a czem ty handlujesz?

— Teraz wiosna, wielmożny pułkowniku, tak kozakom potrzebne będą kosy.

— A gdzie kosy?

— Na furze wielmożny panie.

— Nu, przynieś, zobaczymy.

Tatar poszedł i przyniósł pęk, dziesięć kos.

Pułkownik miał sługę wiernego imieniem Fiedka, ten zaczął oglądać kosy, na jednej znalazł skazę, druga nie miała dźwięku, trzecia nie dawała ognia, zgoła wszystkie okazały się niezdatne.

— Jak ty śmiesz z takim towarem jeździć? ty chcesz kozaków oszukiwać? to kradzież! oszustwo! — wołał z gniewem pan pułkownik. Tymczasem Fiedko zabrał kosy i wyniósł się.

— Wielmożny panie, towar dobry, już pozwól pan. Kozacy mnie znają i zawsze kupują.

— Nu, ruszaj, przyszlij syna.

Tatar ukłonił się, wychodząc obejrzał się gdzie kosy, żeby je zabrać, ale kos już nie było; poszedł do fury, gdzie go oczekiwali synowie.

— A cóż? jest kartka? — zapytali ojca.

— Ani kartki, ani kos; ruszaj ty teraz a proś — i wyprawił starszego syna.

— Ty po co? — zapytał wchodzącego pułkownik.

— Po kartkę, wielmożny panie.

— A czem targujesz?

— Kocami, wielmożny pułkowniku.

— Kocami, a.... nu, to dobrze, dostaniesz zaraz pozwolenie, ale widzisz, ot ja pułkownik, a siedzę tu bez koca, w pokoju wilgoć, z pod podłogi wieje, tak widzisz, ot przynieś mi koc, tak żeby wystarczył na całą izbę.

Tatar skrzywił się, nie było rady, przyniósł koc.

— Ej, Fiedko! zobacz czy wystarczy koc na podłogę.

Fiedko zjawił się zaraz i rozrzucił koc.

— Nic nie wart, wielmożny panie, mały.

— Nu, ot widzisz, przyniosłeś mały, tak kochanku przynieś inny, większy, a ten niech tymczasem tu zostanie.

Tatar znów poszedł i przyniósł drugi koc; ten już był dogodny, pan pułkownik raczył przyjąć.

— Nu idź teraz, przyszlij mi brata.

Tatar chciał zabrać pierwszy koc, ale sprytny Fiedko już go rozciągnął w innym pokoju gdzie się bawiły dzieci pułkownika i przewracały na nim koziołki.

— Ach, patrz! — zawołał rozczulony pułkownik — jakie to wisusy! pójdźcie chłopcy podziękujcie kupcowi za prezent.

Jeden chłopiec podbiegł i pokazał język Tatarowi; to było podziękowanie.

Biedny Tatar, obdarty z koców, poszedł do fury.

— A cóż? masz pozwolenie?

— A przecież z trzeciego skóry jeszcze nie ściągnął, teraz on niech idzie — odrzekł wskazując na brata.

Poszedł trzeci Tatar do pułkownika.

— Ty co chcesz?

— Pozwolenia, wielmożny panie, już byli i ojciec i brat, przyszedłem po kartkę.

— A czem ty handlujesz?

— Niczem, panie pułkowniku, pomagam ojcu i bratu.

— No, ale co sprzedajesz? przecież nie jedziesz z próżnemi rękami?

— Mam trochę herbaty, chciałbym chociaż na chleb zarobić, u nas bieda wielmożny panie — i położył funt herbaty na stole.

Pułkownik obejrzał, powąchał i położył na stole paczkę. Tatar stał i czekał, pułkownik palił fajkę.

— No i czego ty stoisz?

— Kartki, wielmożny panie.

— Ach, ty bydlę jakieś, to ty myślisz, że ja bez cukru pijam herbatę? Ty kpisz ze mnie... co... ty kpisz... paszoł won!

Tatar ze zwieszoną głową poszedł do ojca.

— Nu, dawaj kartkę — zawołał stary.

— Jaką kartkę? nawymyślał i wypędził, że nie przyniosłom cukru.

Tatar zgrzytał zębami: dziesięć kos, dwa koce, funt herbaty za kawałek papieru. Ha! i cóż robić, straciło się więcej, trzeba dać, i przeklinając pułkownika, wyjął z fury najmniejszą głowę cukru i podał synowi.

— No, idź, daj temu wrażemu synowi, niech pije krew i krzywdę ludzką.

Tatarzyn kłaniając się, złożył na stole głowę cukru. Pan pułkownik spojrzał i zważył w ręku.

— A wiele tu jest funtów?

— Nie mogę wiedzieć, wielmożny pułkowniku, może dwanaście.

— Ach, ty psie nieochrzczony, to ty mnie oszukać chcesz? a gdzieś ty widział głowę cukru coby miała dwanaście funtów? tak ty i kozaków będziesz oszukiwał.

— Ależ ja na funty sprzedaję, wielmożny panie.

— To wszystko jedno, głowa cukru powinna mieć dwadzieścia funtów.

Tatar płacząc wrócił do ojca.

— No i cóż? masz już pozwolenie?

— Ale gdzież tam, znów mi nawymyślał, że głowa cukru mała, że go chcę oszukać.

I nowa głowa cukru zjawiła się przed panem pułkownikiem; wziął ją do ręki i zważył.

— Nu tak, ta to jeszcze; niech już będą obiedwie, to będzie lepsza waga.

— Wielmożny pułkowniku! — z płaczem prosił Tatarzyn — ja biedny, ja tylko na kawałek chleba chcę zarobić, oddaj pan już tę małą główkę.

Ale pan pułkownik nie słyszał prośby.

— Nu, a co macie więcej na sprzedaż?

— Już nic nie mamy wielmożny pułkowniku.

— Ej! Fiedko! idź zobacz, co oni tam jeszcze mają na furach.

Fiedko powrócił niosąc kilka par kleszczy do chomąt.

— Jakto? nic nie ma więcej?

— Nic, wielmożny panie.

— A szukałeś dobrze? bo to te oszusty, to tylko myślą, jakby człowieka skrzywdzić. No, to masz pozwolenie, jedź teraz, a kleszcze niech zostaną, to się zda w gospodarstwie.

Tatarzy dorwawszy się kartki pojechali co tchu złorzecząc bezwstydnemu żdziercy. (*Z Pam. J. Jasień.*)

Szanuj prawo kościoła.

Dawno to, dawno temu, żył jeden dzielny rycerz polski, któremu we wszystkich sprawach i zamysłach dziwnie błogosławił Bóg miłosierny, a głównie za to, że przez całe życie swoje był pobożny, cnotliwy i szanował prawa kościoła nawet w najdrobniejszych rzeczach. Nazywał się ten rycerz Marcjan Chełmski. Był on najprzód chorążym, potem podkomorzym krakowskim, starostą bocheńskim i wielickim. Rozumny, stateczny, miał wielkie zachowanie u króla, tak, że gdy ten chciał się kim w jakiej sprawie wyręczyć, jeżeli posłał Chełmskiego mógł być pewien, że się tak stanie, jakby tam sam był. Jako rycerz, Chełmski wsławił się niezrównaną walecznością. Ponieważ pod porę nie było w Polsce wojen, pojechał do kraju francuzkiego i tam z wielką sławą walczył przeciwko Hiszpanom. Potem na krótko wróciwszy do ojczyzny, uzbroił własnym kosztem kilkuset ludzi, udał się z nimi do Węgier, gdzie oddawna toczyła się zacięta wojna z Turkami i tam przez lat kilka, na czele swojej chorągwi dokazywał cudów waleczności. Arcyksiążę austryacki Maciej, naczelny wódz wojsk cesarskich, które Turków wyganiały z Węgier, nie mógł się wydziwić osobliwemu szczęściu, a jeszcze bardziej nadzwyczajnej odwadze Chełmskiego, to też raz po bitwie uniesiony radością, uściskał go w obec całego wojska, a zarazem oddając słuszność wszystkim jego podwładnym, nazwał go najwaleczniejszym z pomiędzy najwaleczniejszych. Widząc ojczyznę w nieszczęściu powrócił do Polski i jeszcze dzielniej, jeszcze skuteczniej bił najezdni-

czych Szwedów, a później Turków. Szczęście nigdy mu sprzyjać nie przestało, a śmiałość, odwaga i waleczność nie opuściły go do ostatka.

W roku 1641 dzielny ten rycerz będąc w Krakowie, zachorował obłożnie i musiał przyzwać lekarzy. Przyszli najsławniejsi lekarze krakowscy, opatrzyli chorego, przepisali różne napoje i leki, rozpowiedzieli jak się ma zachowywać, co ma jeść i jaką mieć wygodę. Chełmski przystał na wszystko, oprócz przepisu co do potraw i co do wygody, był to bowiem właśnie wielki post, a on całe życie zwykł był zachowywać z wielką ścisłością wszystkie posty od kościoła Bożego nakazane. Nazajutrz przyszli lekarze, ciekawi jaki skutek sprawiły ich leki, ale jakże się zdziwili, gdy chorego zamiast zdrowszym, jeszcze słabszym ujrzeli. Dalejże więc rozpytywać służbę jak się pan zachowywał? co jadł? a gdy usłyszeli o poście, nuż w prośby do chorego aby tego zaniechał. Chełmski przystał na pozór aby się ich pozbyć, ale przecie nie złamał przykazania. Przyszli znowu lekarze następnego dnia, a widząc, że ich prośby są bezskuteczne, przywiedli z sobą kilku przyjaciół i krewnych Chełmskiego, którzyby go nakłonili do szanowania zdrowia, gdy zaś i to nie pomogło, jeden z lekarzy, nie tając dłużej prawdy, oświadczył bez ogródki, że chory umrze jeżeli się nie da odwieść od postu.

Całkiem jednak przeciwny sprawiło to skutek, Chełmski bowiem nie tylko się nie przestraszył i nie uległ, ale owszem uniesiony świętym zapałem, zawołał:

— Niech życie ginie, byle matki-kościoła prawo ocalało!

Słowa te konającego rycerza największem uszanowaniem przejęły obecnych i nikt już nie śmiał namawiać go do grzechu.

Wkrótce potem Chełmski wytrwawszy w cnocie do ostatka umarł, ale nie na wieki, duch jego bowiem poszedł po nagrodę, jaką Stwórca zgotował w niebie tym, co na ziemi szanują prawa jego i jego kościoła.

Ten Chełmski miał bogatą książnicę i podarował ją akademji krakowskiej na użytek uczącej się tam młodzi; własnym kosztem dźwignął z fundamentów kościół w Bolesławiu, który nachylony starością omal nie rozsypał się w gruzy,

nakoniec odbudował i opatrzył w dochody jednę z kaplic przy kościele Panny Marji w Krakowie, gdzie też został pogrzebiony.

Takich dzielnych a oraz pobożnych rycerzy, jak Chełmski Marcjan były niegdyś w Polsce tysiące tysięcy. Oj! dobre to wtedy były czasy.

Poszło w wodę, co z wody przyszło.

Pewien Niemiec, chcąc się czegoś dorobić, popłynął do Ameryki. Osiadłszy tam w wielkiem mieście zwanem Filadelfia, zaczął sprzedawać mleko i sprzedawał coraz więcej, i tak mu szedł jakoś dobrze handel, że znaczny sobie zebrał majątek. Zachciało mu się powrócić do ojczyzny, sprzedawszy więc wszelkie ruchomości swoje, wsiadł na okręt i płynął do Europy przez wielkie morza z całym swym majątkiem, który się składał z dwóch worków złota. Pewnego dnia usiadłszy sobie na pomoście okrętu, zaczął liczyć i gatunkować swoje złoto: to kładł przy sobie po prawej, to po lewej ręce i naładowawszy już jeden woreczek, zawiązał go i położył przy sobie. Tej jego zabawce przypatrywała się małpa; bo małpy chowają sobie często majtkowie na okrętach. Podobało się małpie błyszczące złoto; pilnie się przypatrywała owemu bogaczowi, co się zbogacił z mleka, i skoro spostrzegła, jak woreczek odłożył, żywo poskoczywszy, schwytała go i w oka mgnieniu uciekła z nim na wierzchołek drąga masztowego. Niepodobna było ścigać ją i odebrać pieniądze. A że to każda małpa ludzi naśladować lubi, więc usiadłszy sobie tam wysoko, rozwiązała worek i dalejże liczyć i gatunkować złoto, ale jak? Oto, jedną sztukę położyła przy sobie, drugą na bok w morze odrzuciła tak, iż po tem przebraniu część tylko z workiem na pokład zniosła i oddała. Odbierając go ów bogacz rzekł zimno pod nosem: „Ha! poszło w wodę, co z wody przyszło“, z czego majtkowie, co stali niedaleko, domyślili się, że w mleku, które sprzedawał, była zwykle połowa wody.

RÓŻNOŚCI.

Grady. Z różnych stron naszego kraju dowiadujemy się, że w przeszłym miesiącu maju, były w wielu miejscach wielkie grady, które wytłukły zboże na polu, zwłaszcza też oziminy. Grad padał od 12go maja w rozmaitych miejscach prawie codziennie aż do końca miesiąca, i tak

dnia 12go i 13go maja padał koło Ropczyc, Rzeszowa, Lwowa, Jasła, Krosna, Brzozowa, Tarnowa, Kolbuszowy, Żółkwi, Kamionki i w każdym z tych powiatów zrządził wielkie spustoszenie, zawsze od razu w kilkunastu albo i kilkudziesięciu wsiach. W następnych dniach rzadziej się wydarzał, za to znowu dnia 23go maja spadł silny grad koło Liska, Jasła, Ropczyc, Rohatyna, dnia 24go koło Zborowa i Zbaraża, dnia 25go koło Mościsk itd. Obok gradów bywały także wielkie burze i to z piorunami, od których w różnych stronach naszego kraju kilkoro ludzi zginęło i kilka chałup spaliło się. Dnia 23go maja oberwała się chmura w powiecie grybowskim i woda mocno uszkodziła zboża w dwudziestu wsiach koło Ciężkowic i Bobowy. Oberwała się także chmura w Czerniowcach dnia 24go maja i zrządziła tak w tem mieście jak i w okolicy wielkie spustoszenie, a do tego padał tam i grad. W Czerniowcach na przedmieściu poobalała burza kilka domów i młynów i pięciu ludzi zginęło w tem nieszczęściu. Nie mamy tu dość miejsca abyśmy wam mili ludkowie, mogli wymienić te wszystkie szkody jakie w przeszłym miesiącu burze i grady zrządziły w naszym kraju, ale tyle wam tylko powiemy, że już dawno tylu gospodarzy nie zubożało przez te klęski jak w tym roku. Boże zmiłuj się i nie daj aby się to jeszcze przed żniwami powtórzyło, bo byśmy zginęli.

Pożary. W wielu także miejscach były ognie i paliło się nieraz po kilka i kilkanaście chałup w jednej wsi. Ale największy był pożar w mieście Brodach dnia 23go maja, gdzie się spaliło 760 domów, w których mieszkało blisko siedm tysięcy ludzi. Wszyscy ci biedacy nie mają się teraz gdzie schronić, ani w czem chodzić, bo wszystko przez ogień stracili, ani wreszcie co jeść, bo zarobek nie prędko znajdzie tylu ludzi od razu. Dlatego to zbierają teraz składki na wsparcie tych nieszczęśliwych pogorzelców brodzkich, i bardzo byłoby to pięknie, abyście się i wy do tego według możności waszej przyczynili.

Przestroga. Temi dniami przytrzymano tu we Lwowie pewnego Niemca, który nałapawszy w naszym kraju słowików, wiózł je do Niemiec, aby tam sprzedać drogo, co mu tutaj przyszło za darmo. Nie udała mu się jednak sztuka, bo ludzie poważni i znaczenie mający, dowiedziawszy się o tym Niemcu, kazali go zatrzymać i odebrać mu słowiki. Puszczono je wolno, po kilka w każdym ogrodzie lwowskim, a Niemiec jak niepyszny pojechał z próżnemi rękami. Przestrzega się was dobrzy ludzie, abyście obcym przychodniom nie pozwalali wyłapywać w lesie słowiki, bo te poczciwe ptaszęta nie na to są na świecie aby niemi handlować, ale na to, aby sobie swobodnie w gaikach śpiewały Panu Bogu na chwałę, a nam na pociechę.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.